

Pokolenie 40+

AUTOR: JAROSŁAW ZALESIŃSKI

Radosław Paczocha w *Punkcie zero* sprowadził swoich bohaterów do kilku zasadniczych rysów charakterologicznych, by to, co ma do powiedzenia, maksymalnie wyostrzyć. Komunikat niewątpliwie na tym zyskuje, ale nie sztuka.

■ Marysia (Katarzyna Borkowska) w słuchawkach na uszach siedzi bez przerwy na Fejsie i Instagramie, jej największym życiowym dramatem jest zbanowanie jej przez którąś z facebookowych przyjaciółek. Mateusz (Paweł Pogorzałek) gra w sieci do czwartej nad ranem, świata poza tym nie widząc. Monika (Sylvia Góra) jest cały czas w biegu między absorbującą pracą, nudnym rodzinnym domem i satysfakcjonującym kochankiem. Jej mąż Marcin (Mirosław Baka) dba o karierę doradcy finansowego, motywowany kredytem we frankach i czesnym za ekskluzywne liceum córki.

przez cały spektakl zmagają się z tym problemem: jak w typowe figury tchnąć sceniczne życie. Zmagają się ze zmiennym szczęściem...

Mirosław Baka, kreujący najważniejszą postać, ma zadanie o tyle utrudnione, że występuje w podwójnej roli: obecnego na scenie narratora, opowiadającego o swoim przegranym życiu, i odgrywającego nieudane życie bohatera. Baka rozpoczyna opowieść Marcina o sobie samym od (wrodzonej u tego aktora) dyskretniej autoironii, nawet lekkiego humoru, z jakim zawiązuje na plecach tasiemki kwiecistego kuchennego fartuszka, przy serwowaniu

Ruch ten oddaje stan ducha Marcina: życie porozbijało mu się na drobne kawałki, z których nie jest w stanie ułożyć żadnej sensownej całości. Z żoną nie ma już relacji, z nastoletnimi dziećmi – tym bardziej. Najlepszy kumpel w pracy, Zbyszek (Michał Jaros), dawno dał sobie spokój z takim życiem i wyskoczył z dziewiątego piętra biurowca ich finansowej korporacji, wprost na dach błyszczącego porsche prezesa. Bogna, wspomniana jako najpiękniejsza erotyczna przygoda młodości, pojawia się teraz jako schorowana kobieta, w ostatnim stadium raka (Joanna Kreft-Baka). Marcin sam sobie wydaje się żywym trupem. Baka nie tylko spowolnionym sposobem mówienia, ale i ciałem pokazuje nam stopniowe poddawanie się swojego bohatera: przygarbiony, coraz bezradniej i coraz częściej uderza o uda w bezsilnym geście opuszczenia rąk. Tylko że... to nie pierwszy facet z depresją w aktorskiej karierze Mirosława Baki. Różnica jest taka, że tekst (właśnie z racji swego bardziej „socjologicznego” niż psychologicznego charakteru) nie daje aktorowi wielkiego pola do popisu. Nawet wtedy, gdy reżyser Adam Orzechowski, chcąc nam pokazać, co się w Marcinie kłębi, każe Bace znienacka rzucić jakimś przedmiotem czy marynarką, nie wypada to przekonująco. Gdy małżeństwo rozgrywa swoją ostatnią kłótnię przed rozwodem, wyrzucając z siebie najjadowitsze, dotąd ukrywane myśli o sobie wzajem, mamy poczucie, że w życiu układają się one w inne dialogi niż w sztuce Paczochy. Czegoś tu nie dostaje do pełnej wiarygodności.

Wiarygodniej wypadają za to postaci z pokolenia dzieci, choć i tu aktorzy nie za wiele mają do budowania. A jednak, grając bardzo naturalnie, tworzą parę rozpaczliwie samot-

Już samym tytułem Paczocha wydaje się mówić pokoleniu 40+: doszłście do punktu zero, niczego wielkiego nie stworzyliście, jak tak dalej pójdzie, to niczego ważnego po sobie nie pozostawicie.

Tyle że, inaczej niż w przypadku jego małżonki, dopadły go kryzys wieku średniego i wypalenie zawodowe. Te skrótowe charakterystyki głównych bohaterów sztuki *Punkt zero* Radosława Paczochy, prapremierowo wystawionej w Teatrze Wybrzeże, nie układają się w szczególnie oryginalną galerię postaci. Przeciwnie: są jakoś typowe – bo i mają być typowe. Paczocha napisał sztukę raczej „socjologiczną” niż psychologiczną, swoich bohaterów sprowadził do kilku zasadniczych rysów charakterologicznych, by to, co ma do powiedzenia, maksymalnie wyostrzyć. Komunikat niewątpliwie na tym zyskuje, ale nie sztuka, bo jednak jeśli ma to być przedstawienie, a nie publicystyka teatralna, potrzeba osób na scenie. Aktorzy

rodzinie ekologicznego śniadania. Czym dłużej jednak, tym widoczniej z jego bohatera uchodzi całe powietrze. Opowieść nie rozwija się przy tym linearnie, biegnie zakosami, powracając do przeszłych osób i spraw, choćby do Bogny, młodzieńczej zmysłowej miłości (w tej scenicznej wersji Agata Woźnicka), czy do pierwszych, jeszcze szczęśliwych lat małżeństwa. Historia rozgrywa się niejako w głowie Marcina, rzeczywistość miesza się ze strzępkami wspomnień w koszmarnym stłoczeniu i chaosie, widocznym od pierwszej odsłony, kiedy to wszyscy bohaterowie, do rytmu energetycznej muzyki Marcina Nenki, wchodzi na scenę i biegają po niej bez ładu, każdy w swoją stronę.

Punkt zero
Radosława Paczocha

reżyseria
Adam Orzechowski
dramaturgia
Radosław Paczocha
scenografia, kostiumy,
światła
Magdalena Gajewska
muzyka
Marcin Nenko
& **Mindstacker**

premiera
13 stycznia 2023

Scena zbiorowa



fot. Natalia Kabanow / Teatr Wybrzeże w Gdańsku

nych dzieciaków, zamkniętych w świecie iluzyjnych, bo sieciowych relacji, bez żadnego kontaktu z pokoleniem rodziców.

Słowo „relacje” wydaje się dla dramatu Paczocha kluczowe. Pustka, w jakiej żyje Marcin, jest rzeczywistością bez więzi, bez realnej bliskości, bez bycia dla siebie wzajem. Nie ma tu pomostu pomiędzy pokoleniem ojców, którzy wygrali los na życiowej loterii, bo dane im było zmierzyć się z Historią przy okazji przeprowadzania Polski z komunizmu do kapitalizmu; nikt z tego pokolenia nie pojawia się nawet na scenie, słyszymy tylko o nim, jak to zniszczyło wszystkie autorytety. Pokolenie Marcina może już tylko w kapitalistycznej rzeczywistości jak najwygodniej się urządzać – cóż za jałowy na dłuższą metę życiowy cel... Nie ma też żadnego łącznika pomiędzy pokoleniem Marcina i generacją jego dzieci: próby ojcowskich rozmów z nastolatkami to sceny pełne czarnego humoru, dialogi między mieszkańcami antypodów, chodzącymi w stosunku do siebie do góry nogami. Co najgorsze i najbardziej niszczące, nie można też mówić o żadnym porozumieniu i żadnej bliskości pomiędzy teoretycznie najbliższymi sobie ludźmi: mężem i żoną. Nic tylko się powiesić... W scenie próby samobójczej Marcina z teatralnego sufitu zjeżdża więc okazałych rozmiarów stryczek. Zbyszek, choć próbuje odwieść przyjaciela od tragicznego wyboru, którego sam niedawno dokonał, usługuje podstawia krzesło. A jednak Marcin nie robi tego kroku. Niby dlatego, że w porę na samobój-

czych zamiarach nakrył go przypadkiem syn. Ale tak naprawdę zawiera się w tym pokoleniowy rozrachunek, jaki Radosław Paczocha przeprowadza w sztuce z generacją czterdziestoparolatków, dodajmy: swoich rówieśników. Na pozór jest to rozrachunek surowy. Już samym tytułem Paczocha wydaje się mówić pokoleniu 40+: doszliście do punktu zero, niczego wielkiego nie stworzyliście, jak tak dalej pójdzie, to niczego ważnego po sobie nie pozostawicie. W rzeczywistości jednak to rachunek bardziej zniuansowany. Między Moniką i Marcinem ujawnia się pewna ważna różnica. Monika w tym świecie bez sensu, bez więzi, czuje się znakomicie i pełna energii pływa jak ryba w wodzie. Skoro potrafiła się w życiu dobrze finansowo ustawić, a dzięki sprytniej wewnątrzmałżeńskiej dyplomacji wynegocjowała akceptację męża dla romansu na boku, skoro córkę traktuje jedynie jako przeszkodę w porannym długim okupowaniu łazienki, skoro własne dzieci nic jej nie obchodzą, bo obchodzi tylko samą siebie – co niby miałoby jej w tym świecie przeszkadzać, jaki miałaby odczuwać w nim brak? Pasuje do niego jak jeszcze jeden element scenografii (Magdalena Gajewska), naśladującej zimny, gładki design, który upodobał sobie czterdziestolatkowie, niekupujący już – jak ojcowie – szafek w Ikea. Marcin przeciwnie: jest w depresji, bo czegoś absolutnie zasadniczego i podstawowego stale mu brakuje. Czego? Ludzkiej bliskości.

Ten sam brak próbuje sobie zrekompenso-

wać wirtualnym świecie pokolenie dzieci czterdziestolatków. Dla ich rodziców wzajemna bliskość to coś, co pojawia się tylko we wspomnieniach. Gdy rozmawiają ze sobą tak, jak przed przyjściem na świat ich pierwszego dziecka, siadają obok siebie, na brzegu sceny, na wprost pierwszego rzędu widowni, blisko widzów. Blisko... Nawet Monika ma wtedy nie zaciętą, lecz jasną twarz.

Wypalenie zawodowe to dzisiaj jeden z najpowszechniejszych cywilizacyjnych problemów, nie tylko w Polsce. Paczocha dodaje: także wypalenie emocjonalne, oddalenie się ludzi od siebie, mentalne przepaści. Kto to jeszcze odczuwa jako wewnętrzny ból, paradoksalnie nie jest przegrany. A kto już żadnego braku nie odczuwa, temu bilans wychodzi na zero. W finalnym dialogu pary głównych bohaterów Paczocha tak właśnie niuansuje rachunek: Monika chce spalenia swego ciała po śmierci, nie ma z tym problemu, że niczego po sobie nie pozostawi. Dla Marcina to bardziej skomplikowane.

Nie dziwię się, że w finale przedstawienia, na które się wybrałem, publiczność porwała się z krzeseł do owacji na stojąco. Każdy mógł poczuć się tu czymś dotknięty, czymś sobie znajomym: a to brakiem porozumienia z nastoletnim dzieckiem, a to jałowością dorabiania się, a to wypaleniem w pracy, a to wypaleniem w związku. Może nawet ktoś poczuł się dotknięty wszystkim tym naraz... *Punkt zero* Radosława Paczocha porusza bowiem nerw naszej współczesności. Mimo tak skrojonych postaci. A może dzięki temu? ■